NUMER 19. DNIA 8. MAJA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK
LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“
POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Zapomniana książeczka.

(X. A. M. Podgórski. Dwa szczególne znamiona budownictwa w Rzeszowskiem. Rzeszów 1857).

Współczesne pokolenie, rozpoczynając przerwaną gwałtownie, twórczą pracę wewnętrzną na nowo, ma często złudzenie, że od nich dopiero wiele robót ogólnych bierze swój początek.

Tymczasem niema pola, któreby pokolenie polskie piątego lat dziesiątka pozostawiło zupełnym odłogiem, wszędzie lemiesz ich pracy wewnętrznej społecznej wzruszył rolę, na której kultura rodzima wyrasta, wszędzie siano te same ziarna, których my, współcześni, pierwszymi zdawaliśmy się być siewcami.

Może odpowiedni do wieku ówczesnego, rozmiar tej pracy odradzającej, był mniej na obszar rozległy, skromniejszy w swej formie, mimo to jednak zawsze ważny i dla żywotności społeczeństwa znamienny.

Tak zdawało się nam, że Witkiewicz i Matlakowski i ci wszyscy rówieśni dobą pracownicy na niwie badań sztuki ludowej, to są pierwsze zgłoski, od których się zaczyna nowy, polski wyraz miłośnictwa kultury artystycznej, rodzimej.

Jakież było zdziwienie Witkiewicza, które wypowiedział w swoim „Dziwnym człowieku,“ kiedy odkrył, dzięki artykułowi p. Melczarta, że Cyprjan Norwid, na kilkadziesiąt lat przed nim zakreślił w prześlicznym poemacie cel i zadanie odrodzenia sztuki polskiej z ludu, jako całkowitej cyrkulacji idei piękna, od talerza do kubka, od ołtarza do tak zwanej wielkiej sztuki.

Takim, samotnym wprawdzie, poprzednikiem tych, którzy z badań nad sztuką i budownictwem ludowem usiłowali wysnuć dzieje kultury narodowej, był skromny pleban w Tarnawcu w Leżajskiem, ks. Antoni Marja Podgórski.

W moich rękach mam książeczkę, użyczoną mi z księgozbioru Redakcji „Kurjera Lwowskiego“. Książeczka ta, w błękitny papier oprawna, tem jest jeszcze w tym egzemplarzu, o którym piszę, cenniejsza, że mieści w sobie kilka wyrazów autora własnoręcznie skreślonych.

Na 22 stronicach, małej ósemki, odbija się dusza obywatelska autora, wolna od przesądów a miłująca gorąco społeczeństwo, i to w objawach kulturalnych tej warstwy, która w owych czasach dopiero ósmy rok cieszyła się uwolnieniem z pańszczyzny w Galicji.

O tej książeczce znamiennej, a raczej o jej autorze dziwnym, chciałem kilka słów napisać.

Jako motto służy jej czterowiersz Jadwigi Łuszczewskiej:

„Kto myślą wyżej wzlatuje,
Niechaj okiem budownika
Obejmie ziemię, jej kraje
I w dzieje jej gmachów wnika“.

Potem jest krótka dedykacja „Janowi i Małgorzacie Bejgertom w dowód przyjaźni,“ a za nią wstęp czyli stanowisko autora.

We wstępie, autor usiłuje się usprawiedliwić wobec czytelnika ówczesnego, a działo się w roku 1856, dlaczego zajmuje się chłopskiem budownictwem i pragnie na nie zrócić uwagę społeczeństwa, a czyni to bardzo mądrze.

„Czemu ty, bławatku (sztuka ludu) nie masz tej krasy, co róże? (sztuka wielka), a ty miesiączku tej woni, co fjołek? Przecież jedna ziemia was rodzi, jedną i tę samą rosę pijecie, do słonka zarówno zerkacie? Oto wielka niedorzeczność!... Boby

nie było piękności, gdyby nie było rozmaitości, gdyby wszystko kwitnące było różą, ani woni, gdyby wszystko miało zapach fjołka. Niechaj tam będzie i wiejski skromny bławatek i ponętna róża i okazały oleander, byle tylko starał się wedle swej możności być jak najdoskonalszym“. Tak obroniwszy doskonale prawo do życia i do słońca dla kultury ludowej, usprawiedliwia się, że w dziełku „zaprawy książkowej nie znajdziesz“. Nie iżby gardził, ale i środki nie potemu. Zresztą czytelniku wiedz, „że objawy rzeczywistego życia, tyle przynajmniej uczą, co książki, *jeżeli nie więcej*.

Dla tych zaś naszych inteligentów na prowincji, którym „ciasno i duszno„ w prowincjonalnej atmosferze, pouczającym jest dalszy ustęp, z którego wynika, że człowiek, obdarzony dobrą wolą wszędzie znajdzie sobie pole do twórczej pracy.

„Ojczyzny mojej, tak jak zupełnie nieznałem. Siedziałem i siedzę doma, lecz się po moim *kąciku* rozpatruję, rozważam, porównywam, odnoszę, łączę, oceniam i tym sposobem, jak to mówią, uczę się filozofji za piecem.

„...Nie twierdzę, nie wyrokuję, tylko przypuszczam... Wziąłem się zaś do dzieła, abym w braku powołanych pracowników (budowniczych) świadczył o przeszłości, zstępującej w oczach naszych do grobu, abym nie próżnował, a tak choć w cząstce spłacił dług winny Ojczyźnie i Bogu“.

Takim wstępem opatrzył swoje dziełko ks. Antoni Marjan Podgórski, pleban w Tarnawcu pod Leżajskiem.

A teraz rzecz sama.

Nad każdym z ustępów widnieje nagłówek.

Nagłówek pierwszy to „ważność i interesowność rozprawki o budownictwie“.

Wszak „mieszkanie Słowianina, to suknia jego, to, rzekłbym, skóra jego“. Mieszkanie należycie wyświecone, wyjaśni usposobienie, rozwój i stopień wykształcenia Słowianina, jego obyczaje, jego pochodzenie, *ba, nawet jego dzieje.* Mieszkanie Słowianina, to on sam. Jakie to wdzięczne studjum.

„Nie zrażajmy się niepokaźnością budowli naszych.

„Chałupka najlichsza, może mieć nieraz wartość nieoszacowaną jedynego egzemplarza. Nasze budownictwo wprawdzie niepokaźne, ale miało swoje życie, ma swoje dzieje.

„O, zajmijcież się nauką budownictwa narodowego, drodzy rodacy, co macie zdolności i łatwość po temu. Jeżeli zaniedbacie tę sprawę, stracicie jedną stronę waszej indywidualności i o was kiedyś będą mówić: „Istnieli wprawdzie Słowianie, ale nie byli, tylko czcze słowie.“

Niestety, te gorące i słuszne słowa, zostały bez należytego oddźwięku, prawie aż do lat ostatnich, a „rodacy budowniczowie, którzy mają zdolność i łatwość po temu“, zabawiają się dalej budownictwem obcych nam narodów, (głównie Niemców), roniąc jedną stronę po drugiej z „indywidualności polskiej budowniczej“.

W ustępie o „ogólnej przesłance“, rozpatruje ks. Podgórski nazwy, odnoszące się do budowli naszych, a zwłaszcza znaczenie słów: budownictwo, buda, kucza i chałupa, dom i dwór, a kończy ogromnie ciekawą na owe czasy uwagą, że „ucząćemby było do tych powyższych wyrażeń odpowiednie greckie i sanskryckie wynaleźć i przestudjować.“

Dalsza cząstka rozprawki poświęcona jest „budownictwu drzewnemu, jako wyłącznemu w Polsce“, tak, że mur, jako tworzywo, uważa ks. Podgórski już jako napływowy niemiecki a zwłaszcza włoski żywioł budowniczy.

„Słowianie taki zmysł mieli do drzewnego budownictwa, że jestem pewien, żeby Słowianin dziś przeniósł się, aż do skalistej Arabji i tamby chwytał za drzewo z pominięciem trwalszego budulca“.

„Drzewo jest zdrowsze i klimatowi odpowiedniejsze, mury chłodzą, a więc przysługują strefie gorącej“.

Dalej pisze ks. autor o kształtach klasycznych w budownictwie drzewnem i odpowiada potakująco na sprawę „czy mogły się wytworzyć w dziedzinie drzewianego budownictwa kształty wzorowe (klasyczne) i style odrębne.

„Na to odpowiadam: niewątpliwie. Drzewo jest budulcem obrobliwym, tak dobrym, jak inne.

A ponieważ miejscowe czynniki przyjazne składały się na wytworzenie kształtów wzorowych, przeto drzewo, jako budulec, staje się wątkiem stylów, a „budownictwo greckie, pierwej na drzewie do klasyczności doszło, nim na kamień przeniesione zostało“.

Czy możliwe wzory narodowe?

Tak. „Plemię nasze, co do zdolności umysłowych, nie ustępuje żadnemu.“ Zajmuje się ono budowaniem i to jedynie drzewem, od tylu wieków. O biegłości budowników, świadczą bożnice (kontyny), nad któremi z pochwałą się rozwodzą starożytni pisarze.

...„Wszystkie wyrazy, odnoszące się do budowli, nie są zapożyczone, lecz czysto polskie i starodawne.“

We wzorach polskich widzi autor logiczność, przeprowadzoną ściśle we wszystkich częściach, piętno wybitne klimatu, życia towarzyskiego i społecznego.

Niestety, znikają one pod ciosami czasu i okoliczności. „Moje opisy będą miały wkrótce wartość pomnika historycznego.“ Otóż ks. Podgórski zbliża się do opisania dwu typów budownictwa, które istnieją na pograniczu rusińsko-polskiem w Rzeszowskiem i Przeworskiem.

Od wschodu idzie typ namiotowy, od zachodu okopowy.

Namiotowym typem nazywa on budownictwo na słup, powszechne na Rusi galicyjskiej, okopowym budowle wiązane na zamek, polskie.

Uwagi, odnoszące się do obu tych typów, bystre i bardzo ciekawe, i wnioski słuszne, choć „oczy dalej wstecz na wschód, aż po Lwów nie widziały“.

Przy opisie chałupy polskiej, którą od wsi Raniżowa nazywa tak po prostu „stylem Raniżowskim“, jak się nazywa dziś współczesny kierunek stylem „zakopiańskim“, zestawił autor to polskie budownictwo z budownictwem greckiem, wykazując wiele podobieństwa obopólnego.

Szczególnie służą mu do tego porównania domy podcieniowe ze „słuporzędami“, nadsłupiem, podsiebitką i t. d.

Wogóle autor słusznie zestawia „domy rynkowe, radnie, kościoły i dwory drewniane“ w jedną całość rodzimych budowli.

Opisuje dawno nie istniejącą „radnię Sokołowską“, okazały gmach, mający z trzech stron podcienia, słotnemu węgłowi nadstawiający gładką ścianę. W czele i w tyle były wjazdy na przestrzał. Dach był przedzielony gustownym gzymsem. „Dwór staroszlachecki z gankiem, to nic innego tylko chałupa Raniżowska“, uzupełniona z obu stron bokówkami.

Ostatnie rozdziały dają szereg wywodów za rodzimością i starożytnością obydwóch rzeszowskich wzorów i omawiają zalety i wady budownicze obydwu sposobów budowania.

Następuje konkluzja.

„Dałyby się opisane kształty wyrobić na klasyczne, podnieść do doskonałości? Juścić. Są organiczne, celowi odpowiednie, dopuszczają zastosowania i modyfikacje.

„Że przenieść się dadzą na cegłę i kamień, aż zbyteczno mówić. Genjalny *architekt* wywoła do *życia kształty całkiem niewidziane i nieużywane.“*

W ostatnim ustępie omawia autor dawne istnienie szkoły budowniczej polskiej, którą nazywa naczelnictwem budowniczem. Jednoszczepowość i tradycja były wspólnemi naczelnikami.

I potem wszystkiem „pożegnanie od autora“. Celem tej książeczki jest „to, co sennie sprawiane jest, oczyścić, podnieść, rozwinąć, spotęgować, uwiecznić. Idzie tu o uwiecznienie własnej istności. Dźwigamy piśmiennictwo, muzykę, malarstwo, dźwigajmy i budownictwo.

„Coby to był w większych miastach, nierzekąc o wygodzie, za wspaniały widok, słuporzędowe, według prawideł doskonałej sztuki, w okół rynku wykonane podcienia... zaludnione przechadzającym i gwarzącym eleganckim światem“.

„Tu winnibyśmy młodzież po szkołach uczyć budownictwa w kroju i stroju narodowym, którym nie wstydzić się, ale szczycić się namby wypadało“.

„Uważam niniejszą rozprawkę, nie jako pomnik na zabalsamowanie przeznaczony, lecz jako zarzewie po wielkim stosie pozostałe, dziś wprawdzie popiołem przysute, ale na nowo w płomień wybuchnąć mogące“.

Oto taka jest treść książeczki, z której po latach 48 piszę niniejszy artykuł sprawozdawczy.

Niema myśli, dziś już głośniejszej i żywszej, którejby ta dziwna książeczka nie wypowiedziała, cały program odrodzenia sztuki postawiony tak jasno i wyraźnie, że niczego ująć i niczego dodać nie można.

I to wszystko na tle badań, co do których, jakże samotnym był wówczas autor pracownikiem.

Dziś, kiedy „zarzewie popiołem przysute“ płomykiem odrodzenia jaśnieć poczyna, niechże w pamięci współczesnych pracowników nad sztuką ludu odżyje pamięć pierwszego a tak samotnego poprzednika.

Po tylu latach, jego książeczka stała się żywą we współczesnem pokoleniu.

Cześć pamięci ks. Antoniego Marji Podgórskiego.

Kazimierz Mokłowski.

Pójdę ja tedy...

...Pójdę ja tedy ową życia stroną
Z pod niebios moich żałobnego kiru,
Tam, gdzie przy drodze polne róże płoną
W powietrzu, pełnem ciszy i szafiru.

Pójdę ja tedy letnich gwiazd godziną
Na ścieżki wiejskie, pomiędzy opłotki,
Między zagrody, hen — przez łąkę siną
W bladoróżowe przetkaną stokrotki...

Pójdę za duszą, zgubioną przed laty,
Pójdę ku gwiazdom, gdy w zachodzie błyszczą;
Wielką, bezsenną tęsknotą skrzydlaty,
Błędny wizjoner snów, co się nie iszczą...

A nad straconym w lazurowej głuszy,
Gdy noc się srebrnem marzeniem rozjaśni
Zobaczę może widmo mojej duszy,
Wołające mnie do siebie — w kraj baśni.

ARTUR ĆWIKOWSKI.

MARJA JARMUND. 4)

Nasze ideały w XIX. wieku.

Zapatrującym się wprawdzie na życie ze strony abstrakcyjnej, przedstawi się jako najważniejsze zagadnienie na świecie ta właśnie przyszłość nieznana, do której każdy z nas od początku swego istnienia zdąża. Owo tajemnicze „Au-delà“, jak je w najnowszej literaturze nazywają... Jesteśmy cieniami błądzącemi przez krótkich chwil kilka po ziemi, ażeby zniknąć, jak cienie, w ponurej, pełnej niepokojących zagadek otchłani. Każda myśląca istota ludzka, usiłuje przebić wzrokiem bezbrzeżne obszary morza wieczności, przed wzrokiem naszym zakrytego zazdrosną zasłoną. Chciwie, ale z lękiem i przerażeniem zapuszczamy w nie sieć myśli, probując wyłowić choć odrobinę z tęsknotą poszukiwanej świadomości. Dawniej niektóre subtelniejsze organizmy przynosiły za pomocą snów, czy wieszczych przeczuć mętne jakieś z zaświatów — jak się zdawało — wskazówki.. Dziś nowe odkrycia naukowe pozwoliły dostrzedz, że nie tylko po za światem, po tamtej stronie grobu, ale tu na ziemi w koło nas — w nas samych kryją się dziwne, niepojęte głębie tajemniczych zjawisk, które się objawiają czasami w snach, przeczuciach, tęsknotach i innych anormalnych stanach istoty ludzkiej. Pozwala nam to żywić nadzieję, że ludzkość rozwijać będzie i wysubtelniać dalej swoją naturę w tym kierunku aż doprowadzi do niepojętych dla nas odkryć, a może nawet kiedyś w odległej przyszłości uda się jej odsłonić ukrywaną starannie przed okiem naszym zagadkę bytu. Otwiera się więc kopalnia nieocenionych i nieprzebranych skarbów, gdzie twórczość artystyczna czerpać będzie bez końca. Bywają jednak położenia, w których brutalna rzeczywistość chwyta w swoje kleszcze i zmusza do zejścia na ziemię z krainy marzeń.

Człowiek, na którego czyha złoczyńca, ażeby mu głowę pałką roztrzaskać, nie może oddawać się transcendentalnym spekulacjom, bo musi wytężyć wszystkie środki i wszystkie zasoby tak fizyczne, jak i umysłowe na obronę życia. W położeniu takiego człowieka znajduje się właśnie nasze społeczeństwo. Z rozmaitych stron podnoszą się pałki nad jego głową, ażeby ją rozmiażdżyć, więc ma ono jeden tylko najważniejszy obowiązek — myśleć o obronie swego istnienia. Wobec tej konieczności wszystko inne, choćby najużyteczniejsze, blednie i na dalszy plan ustępuje. W wyjątkowych okolicznościach, wyjątkowych potrzeba środków. Z tych powodów nie możemy się zadowolić sztuką, czy literaturą, naśladującą ślepo obce kierunki, dobrą dla narodów szczęśliwych i wolnych. Dla nas niezbędnie potrzebną jest literatura, któraby, hołdując nawet nowym prądom, odczuwała bezpośrednie potrzeby i ideały całego narodu. Nasi zaś moderniści zerwali zupełnie nić sympatji, wiążącą ich z ogółem i to jest głównym powodem rozdźwięku, jaki zapanował pomiędzy społeczeństwem, a twórczością najmłodszych artystów. Na dowód, że ten jest główny powód nieporozumienia, dosyć będzie przytoczyć dosłownie ustęp z rekryminacji modernistycznej prasy, odnoszący się do jawnie okazywanej im przez wszystkich niechęci.

„...Po cóż więc niszczyć pismo, które nie ma żadnych celów politycznych, nie zachęca ani do rabunku, ani do grabieży, które nawet chce oczyścić sztukę ze wszystkich tych rzeczy, które ze sztuką nie mają nic wspólnego, a państwu mogą się stać niewygodne. Czemu ta zajadła nienawiść całego społeczeństwa ku pismu, co apostołuje sztukę zupełnie oderwaną od głupich przypadłości tego życia, którem państwo i społeczeństwo żyje“.

Gdyby autorzy tej odezwy byli ją uważnie odczytali, to w niej samej mogli znaleźć odpowiedź na wystosowane do ogółu pytanie. Nienawiść, o jakiej mowa, to objaw samoobrony i tego nieomylnego zdrowego instynktu, który ostrzega społeczeństwo o tem, co dla niego jest niebezpiecznem i zgubnem. Mamy w nim dowód, że ten instynkt nie zawodzi, bo pozwolił przeczuć pierwej, nim to jawnie i głośno wypowiedziano, że nowa sztuka ma zamiar stanąć w zupełnej sprzeczności z wszystkiemi dążeniami i ideałami narodów, gorzej nawet, gdyż chce działać w kierunku wprost szkodliwym. Co dla państwa, czyli dla rządów obcych jest wygodne i korzystne, to dla narodu, znajdującego się w takiem, jak nasze, położeniu zabójczem być musi i odwrotnie, co im niewygodne, to dla nas potrzebne i pożądane. Owe zaś, „głupie przypadłości życia“, to walka o najświętsze prawa, o wolność, o samo życie, do której obowiązany jest każdy w miarę swoich sił i zdolności. Walka, nie będąca jałmużną, ani łaską, z dobrej woli społeczeństwu wyświadczona jest świętym obowiązkiem, od którego nikomu uchylać się nie wolno — jeżeli nie chce być uważanym za renegata, zdrajcę sprawy ojczystej, i zostać odepchniętym z pogardą przez cały naród, choćby był największym z genjuszów.

Po raz pierwszy dopiero od czasu rozbiorów, usłyszeliśmy głos artysty, czy poety polskiego, odzywający się w sposób, uważany dotychczas za przywilej Targowiczan i ich potomków, wtedy gdy literatura i sztuka polska popierała zawsze gorąco i usilnie sprawy ojczyste i wiodła za sobą cały naród. Teraz więc grożące z niespodziewanej strony niebezpieczeństwo wzbudziło niepokój w tym zbiorowym człowieku, który się zowie społeczeństwem i wywołało ogólną niechęć do całego nowego kierunku sztuki, w niejednym wypadku może nawet bezkrytyczną. My byliśmy przyzwyczajeni do tego, że jeden wielki poeta mówił, iż „jest miljon“ bo czuje, cierpi i kocha za miljony — inny zaś, że

W jedną girlandę męki swe uwiąże
Jak człowiek, który za tysiące czuje,

takiego jednak, któryby ośmielił się powiedzieć, że najdroższe uczucia tych tysięcy i miljonów, ich cierpienia i bole, są dla niego „głupiemi przypadłościami życia“, nie było dotąd ani jednego. Objaw solidarnie odczutej niechęci w całym narodzie, objaw pierwiastku czysto transcendentalnego, jest istotnie ciekawy, godny badania i zastanowienia. W niektórych chwilach, gdy grozi jakieś straszne niebezpieczeństwo, gdy gniew i ból lub oburzenie wstrząsną duszą zbiorową miljonów, wtedy bez porozumienia, bez narad, jednakowe myśli i uczucia, na kształt iskry elektrycznej, przebiegają ogół, łącząc go w jednolitą niemal indywidualność. Jest to owe tajemnicze przenoszenie się myśli z jednego umysłu na drugi bez pomocy słów, zagadkowe suggestjonowanie się wzajemne zbliżonych do siebie jednostek, objaw należący do tej właśnie dziedziny nie odrywającego od ziemi mistycyzmu naukowego, który tak ważną rolę w literaturze zaczyna odgrywać...

Podobne zjawisko w całej swej niezgłębionej tajemniczości objawiło się, jak opowiadają naoczni świadkowie, w Warszawie po zamordowaniu 5-ciu ofiar 27. lutego 1861 roku. Całe miasto, liczące kilka kroć tysięcy mieszkańców, jak na dane hasło, przez nikogo jednak głośno nie wymówione, bo na porozumienie się brakło czasu, w ciągu jednej godziny ubrało się w grubą żałobę. Udowadnia to najdokładniej niezbadaną stronę transcendentalną natury człowieka, a zarazem okazuje, że twierdzenia modernistycznych krytyków (Przegląd w „Życiu“ — Sztuka a społeczeństwo) jakoby „jakieś jednolite działanie na społeczeństwo było chimerą“, jest mylne. W niektórych razach i przy pewnym nastroju członkowie tego samego narodu, dzieci jednej ojczyzny, stają się bez względu na różnice umysłowe, towarzyskie, lub materjalne, jednolitym organizmem, którym rządzi zbiorowa dusza. Trzeba tylko umieć dotknąć tych strun, a znajdą one odrazu głośny oddźwięk, jak w instrumentach, na jeden ton nastrojonych.

Gdyby wielki artysta umiał stworzyć na tle tych tajemniczych, mistycznych objawów wspaniałe dzieło sztuki, to można zapewnić, że choćby ono było najbardziej modernizmem przyjęte, nie doznałby jednak zawodu i nie potrzebował się skarżyć na niechęć lub obojętność ogółu, ani nazywać swoich czytelników „mydlarzami“. Ale gdy utwór przeniknięty jest duchem obcym, nie sympatycznym, wtedy tylko u nielicznych sobie pokrewnych jednostek zdoła obudzić echo, reszta pozostanie niewzruszona. Nie pomogą nic na to łajania i obelgi, miotane na ogół. Uczucia, które tak mnie, jak drugiemu i dziesiątemu są obojętne, albo wprost wstrętne, choćby były wypowiedziane cudnym, boskim języjęzykiem, ani wzruszyć, ani zachwycić nie potrafią. Do takich uczuć, nie budzących u nas żadnego oddźwięku, należy miłość zmysłowa, rozbierana w drobiazgowych opisach. Nie budzi zaś oddźwięku z rozmaitych powodów.

Naród nasz nie należy do społeczeństw namiętnych, jak Włosi, Hiszpanie, a po części i Francuzi, przyczynia się do tego może chłodny klimat,

ale nie małą też rolę gra wyjątkowo ciężkie położenie, w jakiem się znajdujemy, wymagające ścisłej baczności, ażeby nie dopuścić do rozkrzewienia się występków, złych obyczajów i rozpusty. To jedno nas broniło dotąd od zagłady i zmuszało nawet wroga do okazywania nam szacunku. Surowość, z jaką społeczeństwo strzegło, żeby zaraza się nie wkradła, była tak wielką, że przez cały czas trwania literatury realistycznej, która w innych krajach przedstawiała czytelnikom najokropniejsze bezeceństwa, u nas zdołano im tamę położyć i w języku polskim nic się prawie nie ukazało obrażającego uczucia moralności. W narodzie uciśnionym z kilku stron, gdzie każda prawie jednostka zniewoloną jest do staczania od kolebki aż do grobu bohaterskich walk w obronie swoich praw, zwyczajów, wiary, języka i narodowości, należy wytężać wszystkie władze umysłowe, ażeby o ile możności uniknąć niebezpieczeństwa, lub je zmniejszyć. Na rozpustne więc zabawki, ani nawet na ciągłe sentymentalno-miłosne wzdychania, nie ma chęci ani czasu wolnego. Rozpróżniaczonym Płoszowskim tylko spodnica cały świat zasłania, ludzie czynu nie podlegają takim chorobliwym przypadłościom. To też miłość u nas nie wychodzi po za obręb właściwej swej roli. Nie brak jej wprawdzie i u nas, ale słusznie uważana jest jako uczucie spokojne, na którem buduje się gmach szczęścia rodzinnego (o ile go wrogowie nie zburzą). Zdolną bywa nie raz do wielkich poświęceń, a niekiedy do bohaterskich czynów, ale nie ma nic wspólnego z temi erotycznemi szałami, jakie modernistyczne utwory z dziwną lubością malują. Dla tych więc, co ani pojmują ani odczuwają tego rodzaju namiętności, będą one zawsze niemożliwemi do odcyfrowania heroglifami. (C. d. n.)

JAN ŚWIERK. 19)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Biedna ciocia!... Ona jeszcze tym herbem szlacheckim zasłonić się chce!... ona jeszcze tą nazwą „z rodziny obywatelskiej“, chce sobie mur obronny stawiać od pogardy i poniżenia!

Szlachcianka!... Gdzież te czasy, kiedy szlachectwo było szlachetnością!...

Jeśliś krawcowa — chyl się u kolan damy i mierz jej suknie, bądź pokorną i uniżoną, ani waż się myśleć, iżeś ty równa komu innemu, niż tylko drugiej takiej samej, jak ty, biednej krawcowej.

— Ciociu moja!... — mówię, patrząc na spłakaną, gdy wróciła z salonu — nie ona winna, bo grubjanka, ordynarna jakaś osoba, gdy ma pieniądze w kieszeni, lepiej się obejść nie potrafi, ale ciocia winna, gdy od razu, wobec każdej z przybywających pań zachowuje się nadto ulegle i pokornie... Gdyby ciocia tej pani od pierwszej chwili nie była pozwoliła grymasić i krytykować tego, czego ona nie rozumie, nie byłoby doszło do tej niegrzeczności z jej strony. Ciocia jest taka sama wielka dama, jak pani mecenasowa, radczyni, doktorowa i t. d. Ciocia ma takie same prawa i przywileje, jak one wszystkie, więc cioci się należy grzeczność tak, jak damie „wysoko położonej“, należy się uszanowanie, jak każdej jednostce szlachetnej i pożytecznej.

— Gdzie mnie tam jakie uszanowanie? — ocierając łzy, powiada ciocia — krawcowa to zawsze, jak służąca.

— Źle wychowane panie, mogą źle traktować osoby pracujące, a głupie i od bab na wsi ordynarniejsze, zaprowadziły już, jak widzę, system ten dookoła, iż płaconym za pracę, nie okazują nigdy ani odrobiny szacunku lub uprzejmości...

— Zdarzy się czasem, zdarzy się — mówi ciocia, nie mogąc nawlec igły, bo jeszcze jej łzy migają...

— Lecz powinno być zawsze tak, że krawcowe same lekcje wychowania muszą przeprowadzać. Gdyby taką damę, która nie umie obejść się grzecznie z osobą pracującą, jedna, druga, i dziesiąta krawcowa odprawiała i powiedziała, iż tylko od tych roboty bierze, które umieją tę robotę dać — wtedy dużo pań nauczyłoby się ludzi szanować, nietylko tych, co w salonach i karetami jeżdżą, ale i tych, co w warstatach, pracowniach i magazynach i zawsze pieszo chodzą...

— Dobrze ci mówić, Jadwiniu, — przerywa ciocia — ale jakbym ja zaczęła odprawiać niegrzeczne panie i od nich roboty nie brać, tobym rychło poszła żebrać pod kościół... Ot!... nie pierwszy to raz i nie ostatni!... Zaboli człowieka, serce się rozżali... ale znieść trzeba wiele...

Dziś rano, gdy szłam po świadectwo do szkoły, spotkałam kilka osób, wracających dopiero z balu... Śmieją się, trącają, mówią głośno... jakby to wszystko pijane było...

Wstrętny widok.

Patrzę, aż idzie Stach...

Wydał mi się, jak gipsowa figura, blady i bezduszny.

Zhulał się i oto wlecze się za rozbawionymi towarzyszami... on, co niedawno nad tem debatował, co lepsze: samotność, czy towarzystwo źle dobrane...

Taki sam, jak oni!...

Świadectwo moje prześliczne... najlepsze w klasie... Serce mi przestało uderzać, gdym poczęła czytać klasy, ja, któram nigdy do szkoły nie chodziła, świadectwa nie miałam!...

Jakże jestem szczęśliwa i jakie czuję wielkie zadowolenie w głębi ducha...

Z powrotem wstąpiłam do kościoła i długo, bardzo długo modliłam się...

Wuj wrócił już.

Powiedział, że za męcząca robota.

Ciocia zbladła jak trup, gdy go obaczyła.

Zaraz przy obiedzie scenę zrobił, że mięso niedobre i piwa mało.

Z Stachem przegadali się ostro, nawet myślałam, że do sceny przyjdzie, ale Stach zaraz wyszedł.

Wuj powiada do cioci:

— Daj mi na kamaszki!

— Nie mam, na jutro na mięso mi braknie.

— Tybyś kiedy miała? Cała twoja robota tyle warta, co i ty — ani w domu zjeść co, ani wygody żadnej, ani zarobku, ani co potrzeba... tfu!... z takiemi kobietami świat niech się już kończy...

A ciocia na to nic i nic... Wyjęła ostatnie dwie korony i dała mu.

Poszedł, a pewnie piany wróci.

Zjawił się Jerzy u nas, a nie było go więcej, niż miesiąc.

— Ja do ciebie kuzynko — powiada zaraz.

— Cóż za interes?

— Słyszałem, iż otrzymałaś najlepsze świadectwo w klasie, a panna Olga szuka kogoś do pomocy w nauce swej, więc możebyś przyjęła lekcję u niej?

— Ja?... co mówisz?... ze wsi, biedna dziewczyna, ja mam uczyć panny miastowe, które tyle szkół mają otwartych i tyle mogły się kształcić?...

— No, widzisz, nie każdy ma jednakowe zdolności do wszystkiego, jedni wyrabiają się w tym kierunku, drudzy w innym, dość, iż panna Olga prosiła mię o zapytanie ciebie, czylibyś lekcji jej nie dawała.

— Czy ona chce być nauczycielką?

— Wątpię, ale tam w seminarjum wymagania są wygórowane, za ostro profesorowie biorą, onaby chciała ukończyć rok dobrze.

— Przyznam ci się, iż nie wiele mam chęci. Boję się ludzi z tego świata miastowego, nie wiem czy ona mnie, czy my obie zrozumiemy się... Przywykłam już tak do cichej po naukach pracy u cioci, iż żalby mi było porzucać ten kąt...

— Ale też zmizerniałaś bardzo, znać, iż za dużo męczysz się, tu po nocy całej prawie nie zarobisz tyle, ile tam za dwie godziny lekcji... Więc pójdź ze mną jutro i umówisz się.

— A czy Olga nie może przyjść tu?...

Powiedziałam to bez namysłu, ale zauważyłam, iż się Jerzy na to zdziwił niezmiernie...

— Wszak to wszystko jedno, ona tu czy ty tam, po co jakieś ceremonje, jakaś etykieta zaraz, parada...

— Prawda! zapomniałam, iż to ja mam być „płacona“, a ona płacąca, to pójdę jutro...

Państwo B., mają mieszkanie dość ciasne, a tak samo zrobiono u nich, jak u cioci. Największy pokój na salon, na sypialnię najgorszy. Panna Olga zimno mię przyjęła, dość z góry traktowała. Chce pomocy mojej w języku polskim, historji, matematyce i w naukach przyrodniczych. Za dwie godziny co dzień, daje mi 12 zł...

Zarobek świetny, ale jakoś mi tu kwaśno i głupio u nich... lecz dla pieniędzy trzeba się zgodzić...

Kuzynek Jerzy jest tam bardzo swobodny, jak domowy — może już oświadczył się!

Co się stało? co się stało? pojąć nie mogę...

Ciocia bardzo jest chora... Raptem wpadła w silną gorączkę, bezprzytomna leży, lekarz obawia się zapalenia mózgu...

Słyszałam wczoraj w nocy długo trwające krzyki wuja i płacz cioci. O co im poszło, nie wiem; nie mogę pojąć, czego wuj od cioci chce, ale wiem, iż cierpi ona strasznie wiele.

Nie poszłam dziś na wykłady, nie mogę pójść na lekcję do panny Olgi, bo jakże chorą, chwilami bezprzytomną mogę zostawić? Robię okłady zimne, leki podaję, dzieci uciszam, aby nie budziły śpiącej, a w pracowni wszystko bezładne, nieporadne, gdy roboty pilne.

W sobotę wspaniały bal. Ciocia ma wykończyć 6 sukień nowych, dwie odświeżyć.

Jest w pracowni panien starszych 3 — młodszych 5..., ale gdy zabrakło cioci, wszystko nie umie sobie dać rady.

Co chwila przybliża się któraś z nich i pyta:

— Pani śpi?

— Moja Maniu, dajże pokój, widzisz, iż ciocia bardzo chora, nie budź.

— Kiedy nie wiem, czy rękawy mają mieć plisy wzdłuż czy w poprzek.

— Co znaczy taka drobnostka wobec choroby ciężkiej, daj jak chcesz...

— A potem będzie narzekania i rozpaczy, jakby się pół świata zawaliło.

Ledwie odeszła Mania, wchodzi Bronia.

— Chciałam spytać panią o to czy pasek uszyć kryto, czy odszyć sztywnie?

— Rób jak uważasz, ciocia ci nie odpowie, popatrz chora jest bardzo.

Lecz cały dzień, do późna wieczór panny kłopotały się ciągle i martwiły bardzo.

— To stanik pani doktorowej ***... ona grymaśna strasznie, już wiem, co będzie, gdy suknię odbierze.

— To suknia nadradczyni ***, jej się zawsze poprawia kilka razy, jeśli pani wykańcza sama, cóż teraz dziać się będzie?

Lamentują biedne panny nad sukniami, a ja z rozpaczą patrzę na ciocię. Gorączka podniosła się o 1 $^{1}/_{2}$ stopnia... muszę posłać po lekarza, ale czy mam czem wizytę opłacić?...

Idę do biurka cioci, odsuwam szufladę za szufladą, szukam w pudełeczkach, nie znalazłam więcej jak 2 korony... Może przyjmie tyle, przeproszę go.

Mówię pannom, aby robotę złożyły, bo i tak bez cioci nie wiedzą co robić, Mania zaś niech wstąpi po doktora. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI.

Mátyás Karol dr. Z życia Cyganów; według opowiadania wieśniaka Gallusa, który chłopięciem przebywał wśród Cyganów, napisał... Lwów. 1903. Nakładem autora. 16-ka, str. 25. — Boski policyjon, szkic z życia ludu w powiecie Limanowskim w Galicji, napisał.... Lwów: 1903: Nakładem autora. 16-ka. str. 8.

Jesień, studjum z życia ludu dawnej puszczy Sandomierskiej, napisał... Lwów. 1903. Nakładem autora. 16-ka. str. 25.

Znany z kilkunastu drobnych, ale cennych prac etnograficznych dr. Mátyás obdarzył skromną naszą literaturę ludoznawczą znowu kilku drobiazgami, pisanymi w sposób przystępny dla szerokich kół czytelników, interesujących się życiem ludu. Autor władając dobrze lekką formą opowiadania, potrafił uczynić swoje szkice tem więcej interesującymi, mimo, że nie uronił przez to nic z dokładności naukowej podanych w tych pracach właściwości obyczajowo-kulturalnych naszego ludu.

Szkic z życia galicyjskich Cyganów zawiera wielce ciekawe szczegóły obyczajowe, tyczące się nietylko wróżb i zamawiań cygańskich, ale też rzuca snopek światła na tryb życia codziennego band koczujących i przenoszących się z jednego krańca kraju na drugi.

W „Boskim policyjonie“ mamy znowu obrazek wymarłych już dawno zbójników i opryszków, których ongiś było sporo na całem Podhalu. Autor zajął się jednym z tych zbójów, który grasował długo w powiecie Limanowskim, wzbudzając podziw swoją odwagą i wytrzymałością wobec wszelkiego rodzaju trudów. Poezji tej jednak, jaką otoczeni są zbójnicy tatrzańscy, bohater opowieści dr. Mátyása już nie ma.

W „Jesieni“ znowuż mamy barwnie skreślony obrazek zabobonów i wierzeń wieśniaczych, odnoszących się do poszczególnych dni świątecznych i powszednich od drugiej połowy sierpnia do końca listopada.

Uwzględniwszy doskonałą znajomość życia ludowego, jaką posiada dr. Karol Mátyás, oraz wdzięk w przedstawieniu rzeczy, można śmiało żądać od szan. autora dalszych tego rodzaju obrazków, jakich też parę drukował dawniej w „Czasie“, a nietylko odniesie stąd korzyść etnografja sama, ale także i popularyzacja wiedzy etnograficznej wśród szerokich warstw społeczeństwa, które tak mało zna stare obyczaje ludu naszego. *St. Zdziarski.*

PISMA. *Architekt*, miesięcznik poświęcony budownictwu i architekturze, przynosi w ostatnim (4) numerze bardzo spóźnione wspomnienie poświęcone ś. p. Zygmuntowi Gorgolewskiemu, razem z kilku wyobrażeniami największego jego dzieła, teatru lwowskiego. Wspomnienie to jest raczej krótkim, encyklopedycznym życiorysem zmarłego, aniżeli krytycznym rozbiorem jego działalności architektonicznej. Oprócz tego znajdujemy we wspomnianym numerze rysunki pomiarowe kościoła w Żółkwi, reprodukcję tablicy nagrobkowej arcybiskupa Felińskiego w Krakowie, a wreszcie podobiznę bardzo ciekawego i oryginalnego w pomyśle grobowca hr. Reja w Przecławiu, projektowanego przez prof. Talowskiego.

Nr. 4-ty warszawskiego miesięcznika krytyczno-bibljograficznego *Książka* przynosi między innemi wyczerpujące oceny: Karłowicza „Słownika gwar polskich“ pióra A. A. Kryńskiego, dr. Fr. Papéego. „Polska i Litwa na przełomie wieków średnich“, nowego wydania „Kazań sejmowych“ Skargi, dokonanego przez p. I. Chrzanowskiego, szkiców Gostomskiego „Z przeszłości i teraźniejszości“, Manna monografji o Wincentym Polu, oraz mnóstwo ocen powieści współczesnych przeważnie pióra p. Gallego. Całość zeszytu dopełniają: kronika, przegląd treści czasopism oraz bibljografja książek z ostatniego miesiąca, ułożona podług działów, sprawiając tem wielkie udogodnienie w zorjentowaniu się pośród tej całej masy dzieł i drobnych nawet broszur.



Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.